Trzęsie i skręca. Skręca średnio co minutę. W godzinach 6.30 do 17.30 popodziwialiśmy Himalaje z okien jeepów w drodze do New Jalpaiguri, skąd odjeżdża nasz pociąg. I wsiadając do samochodów o 6.30 nie śmielibyśmy przypuszczać, że nasz pociąg może o 17.30 odjechać bez nas. A jednak, było blisko.

W międzyczasie odwiedziliśmy dwa klasztory buddyjskie, wielki posąg buddy i pola herbaciane.

W pierwszym klasztorze, godzina siódma rano, mnich obnosił dookoła świątyni, zgodnie z mądrością czasu, srebrne kadzidło rozmiarów gara od zupy z żarzącymi się gałązkami. Ot, poranny rytuał. Z zewnątrz klasztoru kręcące się kolebki – mantry, kto wprawi wszystkie po kolei w ruch, dostaje szczęście. Wewnątrz malowidła – wyblakła płynna linia, a w kontraście z tym współczesne, ładnie pomalowane chociaż kiczowate, drewniane rzeźby. Za szybą. Przed szybą stały ofiary i farbki, i drewniana czerwona ręka (pewnie jakiegoś niestworzonego jeszcze demona), wykonana przez mnichów. Wtedy było jeszcze bardzo mgliście w górach i my czuliśmy się mgliście.

Do kolejnego zespołu klasztornego szliśmy wysoko pod górę, prowadziły nas mantry – białe, bawełniane, na kilkumetrowych bambusach, a po bokach chaty na tle gór albo góry na tle nieba. Na szczycie każda świątynia była inna. Jedna skromna z wielkimi młynami mantr o pociemniałych z czasem kadzidłami malowidłach. Działają na tej samej zasadzie co te z zewnątrz, tyle że ostatnia zahacza jeszcze o dzwonek. Ryż rozsypany po kątach, drewniane sprzęty i ofiary oraz kadzidła wielorazowego użytku.
Mieliśmy okazję oglądać apartamenty Dalajlamy na czas jego wizyt w Sikkimie, dotknąć jego filiżanek i skorzystać z toalety (legalnie?).

Nie pamiętam dokładnie jednego pięknego widoku z tych, które widzieliśmy tamtego dnia. Za wiele ich było i za bardzo były poruszone. Poruszające również były. Dla mnie osobiście głównie chmury. Piękne chmury na wielu poziomach, barwy słońca, kiedy samego słońca już nie było. Wodospady, jedna samotna góra. Zielona. Dużo piękności.